Szetlandy - Pochwała Radości Życia — Kasia myran

Stoję tu, mały zastygły w bezruchu punkt na wielkim pustkowiu. Wokół mnie przenikająca na wskroś cisza, a głęboko w środku rozpierające każde najmniejsze naczynie krwionośne uczucie, że żyję w pełni.
Odgłosy wzgórz, pieśni ptaków i szeptanie wiatru nie łamią ciszy, należą do niej tak, jak moje kończyny należą do mojego ciała. Pozwalam, by mój umysł i moje serce zatopiły się w tej ciszy i w tych milczących dźwiękach. Zapominam o świecie, który już dawno odciął się od tego, od czego pochodzi, od jego Matki i źródła wszelkiego piękna i natchnienia - Przyrody. Najbardziej niewdzięczne dziecko, które zbuntowało się i uciekło w okrucieństwo, ignorancję i arogancję - ludzkość. Odcięła pępowinę łączącą ją z Ziemią i nie pozostawiła nic, nawet śladu, nawet wspomnienia tej niegdyś tak silnej i witalnej więzi. Będąc tu, doświadczając tego miejsca, odczuwam ukojenie i czuję, że moja tęsknota za powtórnym połączeniem jest zaspokojona. Nie wszystko stracone i nie trzeba szukać daleko. Znalazłam mój własny przesmyk prowadzący do miejsca, z którego pochodzę.

Stoję tu, wśród brązowo zielonej krainy torfów. Moje stopy są mokre,
moje policzki czerwone od zimna, moje włosy to zapętlona bałaganina. Niemal nie czuję moich palców. Ale czuję się tak prawdziwie i głęboko żywa. Pozwalam sobie poszybować ku otchłani wypełnionej radością życia i niczym więcej. Gdybym tylko mogła, pozostałabym tu na zawsze.

***
Jestem na Wyspach Szetlandzkich już drugi raz. Nie spodziewałam się, że odkryję taki skarb, ostrzegana przed zimnem, niekończącym się deszczem i wiatrem, humorzastą pogodą i dołującą szarością wokół. Nie przygotowałam się na odnalezienie miejsca, w którym tak bardzo się zakocham. I może tak jest lepiej. Tak bardzo zaskoczona, każda pojedyńcza myśl i emocja która wzrasta głeboko we mnie jest bardziej intensywna i moja podróż przypomina sen.
"Styczeń!? To najgorszy czas by odwiedzić Szetlandy!" usyszałam przed moją pierwszą wyprawą. To nic więcej niż niezamierzone kłamstwo albo ślepota. Nie mogę sobie wyobrazić lepszego czasu na odwiedzenie miejsc, które widziałam, choć zamierzam tam wrócić i doświadczyć ich jeszcze inaczej, w innym czasie. Nie ma dobrego albo złego czasu, to niedorzeczne ograniczać się do wizualnego ucztowania tylko kiedy warunki, które sami wymyślamy, zostają spełnione. To lenistwo i strata cennych chwil siedzieć bezczynnie i czekać aż wszystkie twoje wymagania zostaną spełnione punkt po punkcie. Bo to samo miejsce może wyglądać zupełnie inaczej w dwóch chwilach oddzielonych tylko mrugnięciem oka.

Dzień, w którym ujrzałam Klify Esha Ness był dniem, gdy wicher skumulował całą swoją złość i postanowił stoczyć bój z każdym, kto stanie mu na drodze. Uwolnił swoich najwaleczniejszych rycerzy, rozzłoszczone fale, by walczyły z lądem i strącał wszystko zbyt słabe, by oprzeć się jego sile. Zdumiona, kuszona przez skraj klifów, przebijając się przez gęste powietrze, robiłam wielkie niezdarne kroki, jak dziecko uczące się chodzić. Zbliżyłam się do urwiska. Nie za blisko, jeden krok dalej i na pewno wirujący żywioł nie mógłby oprzeć się pokusie, by położyć swoje niewidzialne dłonie na moich plecach i zrzucić mnie do morza. Rozbawione moim strachem i moimi ograniczeniami ptaki tańczyły na wietrze nie zwracając żadnej uwagi na jego groźne pomruki. Zazdrościłam tym rozbawionym istotom ich beztroski i wolności, które pozwalały, by tak pięknie wysysały radość z doświadczanej przez nas wspólnie chwili. A ja tak bardzo poczułam się ograniczona moim ciałem nieumiejącym latać czy przebijać się przez fale, że niemal

zapomniałam, że mogę mieć to wszystko jeśli tylko uwolnię swój umysł i duszę. Zamknęłam więc oczy, zsunęłam kaptur i pozwoliłam by wiatr zabrał mój strach i by krople deszczu przebijały moją skórę. Wskoczyłam w fale, zanurkowałam aż do dna morza i pozwoliłam, by porwała mnie woda. Wzleciałam ku mewom, czując jak moje pióra poddają się wiatrowi i jak moje skrzydła przebijają powietrze. I kiedy opuszczałam tą zapierającą dech w piersi scenerię klifów, czułam się inaczej i byłam inna.

***

Szetlandy to miejsce, które cię na zawsze odmieni, jeśli tylko na to pozwolisz, zaczynając od szczerej wiary w ich magię. Jest wszędzie, zatopiona wraz ze wspomnieniami drzew w torfowiskach, wbita w skały, trzepocząca we wrzosach...
Spędzałam godziny wędrujac po wrzosowiskach i torfowiskach w poszukiwaniu spokoju i hipnotyzującej ciszy. Kszyki i śnieżne zające wystrzeliwały ze swego ukrycia tuż przede mną, zaskoczone nagłą obecnością człowieka - czegoś tak bardzo niepasującego do tego krajobrazu.
Ich panika była w jakiś sposób bolesna, gdyż przyszłam w pokoju bez najmniejszej chęci skrzywdzenia ich. Szukałam pojednania z Naturą, a w odpowiedzi otrzymałam bardzo wyraźny sygnał nieufności. Zasługuję na to, jak i my wszyscy, dlatego, że jesteśmy kim jesteśmy. Nie należymy już do dzikiej przyrody, porzuciliśmy ją jak niechciane schronienie bez wygód. I ta przyroda już nas nie chce z powrotem. To wymaga wielkiego wysiłku, by człowiek zasłużył na zaufanie utracone wieki temu. Zamierzam znaleźć mój własny sposób by je odzyskać i będę cenić najmniejszy nawet sukces, który przybliży mnie do celu. Może to będzie ptak śpiewający bez strachu na gorącym kamieniu parę metrów ode mnie, koń pozwalający, by jego piękna głowa spoczęła na moim ramieniu i jego ciepły oddech pieścił moją szyję, bądź stare drzewo szepczące prastare opowieści do mojego ucha. Takie chwile to nieoceniony skarb.

Zamykałam oczy wiele razy pozwalając, by bezdźwięczna cisza wypełniła mnie i pozwalając, by wyostrzyły sie inne zmysły. Wąchałam powietrze z zachwytem i dotykałam zimna gołymi rękami, tak by niemal bolały. Dzięki temu czułam wyraźniej. Kiedy nasyciłam inne zmysły, pozwoliłam by ucztowały moje głodne wrażeń oczy. Delikatna i senna zieleń wrzosów wyłaniała się spomiędzy zimowo brązowych jeszcze krzaczków, niepewna, czy jej czas już nadszedł. Soczysta zieleń mchów przepychała się przez trawy i popisywała swoim pięknem na zapomnianych kamieniach i ruinach. Malutkie jeziorka migotały tak intensywnym błękitem, że przypominały malowidła, a wybrzeże majaczyło w oddali zawoalowane przez mgłę i chmury naładowane deszczem, zbliżające się bez pośpiechu. A potem nagle poryw wiatru niemal przewrócił mnie na ziemię i przepchnął chmurzyska na skrawek nieba nad moją głową. Zaczęło padać. A potem deszcz przemienił się w grad gryzący moją twarz. I tak nagle jak burza się zaczęła, nastała cisza. Wiatr przegnał chmury dalej, za wzgórza i zamarł. Kiedy pierwsze nieśmiałe promienie słońca przebiły niebo, zobaczyłam po raz pierwszy w życiu bliźniacze tęcze. Wzbijały się dziarsko ku niebu, ramię w ramię i opadały miękko na mokrą ziemię. Zaskoczona tym odkryciem poczekałam aż zlały się z szarawym niebem, a potem odwróciłam niechętnie głowę, choć nie na próżno. W oddali, zatuszowana przez powracającą szarość burzy, ukazała się wyspa. Obserwowałam ją nim znikła wśród mgieł morza, mając nadzieję, że odgadnę czym była. Nie udało mi się. Mam nadzieję, że pewnego dnia odnajdę moją zamgloną wyspę i odkryję jej tajemnice.

Rozpoczęłam moją podróż ku poznaniu szetlandzkich wysepek, ale jeszcze nie udało mi się postawić stopy na żadnej z nich. Byłam bardzo blisko jednej, ponoć perełki Szetlandów - wyspy St Ninians Isle.

Jest tam mały piaszczysty przesmyk prowadzący do wysepki i jeśli bogowie morza są dość łaskawi, można przejść po tym skrawku plaży i dotrzeć do wyspy nie mocząc nóg. Ja musiałam wzbudzić gniew strażników morza albo wybrali mnie dla zabawy postanawiając uniemożliwić mi przejście na drugą stronę. Wysłali masywne złośliwe fale, by spotkały mnie na mojej drodze, kąsały moje stopy i zmusiły do odwrotu. Udało mi się przebiec przez wodę i wdrapać na malutką skałę wystającą z morza dość blisko lądu. Pozwoliłam, by woda rozbijająca się o kamienie dosięgnęła mnie i złożyłam przysięgę, że wrócę. Przysięga dla mnie samej, dla morza - bezczelne wyzwanie na kolejne starcie.

***

Szetlandy oferują w styczniu wyjątkową noc, której nie wolno przegapić. To Up Helly Aa'- ceremonia ognia, podróż ku czasom pełnym morskich bitew, polowań na łupy, ku czasom mocarnych Wikingów. To surrealistyczne i bardzo intensywne doświadczenie, tradycja pielęgnowana już przez wiele lat, echo tego, co minęło, ale nie zostało zapomniane, reanimowane corocznie przez lud Szetlandów.

Kiedy gasną światła miasta Lerwick, a wszyscy ludzie głodni tego nieziemskiego widowiska zbiorą się wzdłuż ulic, wdrapią na płoty i murki, i zapełnią każdą wolną przestrzeń, wtedy odżywa moc Wikingów. Zostaje zapalona pochodnia, która wędruje do wojowników ustawionych w dwóch niekończących się rzędach. Ta podróż ognia w ciemności przypomina niegasnącą siłę Wikingów podróżującą przez ich pokolenia do czasu, gdy dosięga ostatniego z nich. A wtedy zasypia, lecz nie umiera.
W procesji uczestniczą istoty, których znaczenie i kontekst najlepiej zrozumie rodowity mieszkaniec Szetladów. Dla kogoś takiego jak ja, przybysza, obcego, to niesamowita mieszanina przedziwnych postaci. Wielkie kurczaki, koty, karykaturalne golasy, zabawne ludki rodem z kreskówek i wiele innych niezrozumiałych dla mnie istot. Niosąc pochodnie, sunąc w korowodzie, podążają za panami tej nocy, wojownikami mórz. A tym przewodzi ich wódz na pięknej drewnianej łodzi przyozdobionej smoczym łbem i unoszącej się nad ulicami rozedrganego światłem i śpiewem Lerwick. Widzowie jak w amoku podążają za tym bajecznym pochodem, wsłuchani w pieśń i wpatrzeni w blask pochodni. Wędrówka kończy się tam, gdzie skończy się żywot pięknej łodzi. Na wielkim placu, niczym na brzegu, otoczona przez Wikingów wygląda tak pięknie i dostojnie. I nagle ku niebu wystrzeliwują setki pochodni. Przez chwilę tworzą łunę, a potem lądują na dnie łodzi żądląc ją bezlitośnie. Drewniany smok zajmuje sie szybko ogniem, płonie, syczy, wije się i w końcu gaśnie. Jego duch ulatuje i szuka schronienia. W końcu opada, niczym magiczny pył, na lud Szetlandów, opętując go jakąś przedziwną magią. Zaczyna się trwająca całą noc w przeróżnych częściach miasta zabawa. Niezrozumiała, przedziwna, pełna absurdu...wspaniała. Dla postronnego widza to jak rytuał, którego nie rozumie, ale który go fascynuje.

A gdy nadchodzi kolejny dzień, miasteczko wpada w swój zwykły senny nastrój. Wędruję niespiesznie po jego uliczkach. Kafejki mamią pysznymi naleśnikami i kawą, puby pełną torfowego aromatu whisky, rozrzucone tu i ówdzie ruiny starych siedlisk pachną tajemnicą, a foki wygrzewające się na kamieniach wcale się mnie nie boją. Moja magiczna kraina. Magiczne schronienie mojej duszy. Wrócę tu...na pewno. Do tej potężnej ciszy, w której usłyszałam nareszcie samą siebie.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Kasia myran, dodano 24.04.2009 23:03

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.